

# Rok Obamy – 2

28 stycznia 2010

W poprzedniej części podsumowania zajmowałem się stosunkami amerykańsko-rosyjskimi. W tym zamierzam ocenić pierwszy rok Baracka Obamy wobec problemów Bliskiego Wschodu – Iranu oraz konfliktu izraelsko-palestyńskiego.

## **BRAK POSTĘPU W SPRAWIE IRANU**

Wiele obiecywano sobie w sprawie rozwiązania problemu irańskiego programu atomowego. Barack Obama posługiwał się innym językiem niż jego poprzednik i deklarował gotowość do dialogu z Teheranem. Rozważano, iż w zamian za rezygnację z programu, którego celem jest zdobycie broni nuklearnej, Irańczycy uzyskać mogą wymierne korzyści gospodarcze (m.in. w ramach wejścia do WTO i napływu hi-techu). Plan w swojej prostocie mógł wydawać się genialny – zamiana programu na pieniądze w wersji win-win, gdyż na gospodarczym otwarciu Iranu skorzystałoby niemal wszyscy.

Obamie nie można zarzucić, iż nie próbował doprowadzić do zmiany. Wyróżnić należy tutaj dwa istotne wydarzenia – przemówienie kairskie oraz stonowaną reakcję w czasie wyborów prezydenckich w Iranie. W czasie tego pierwszego powiedział, iż Iran ma prawo do posiadania pokojowego programu atomowego i pomimo iż historia stosunków amerykańsko-irańskich nie jest najlepsza, liczy na dialog. Podkreślił przy tym, iż rozumie sprzeciw państw wobec faktu, iż jedne państwa posiadają broń nuklearną, a inne nie, a celem Stanów Zjednoczonych jest osiągnięcie stanu, w którym żadne państwo takiej broni nie będzie posiadać. To wygląda na populizm, zwłaszcza, gdy uświadomimy sobie, iż na Bliskim Wschodzie istnieje monopol na broń nuklearną, która jest w posiadaniu Izraela, przy pełnej akceptacji i świadomości Ameryki. W każdym razie – takim językiem, przyjaznym i zapraszającym do rozmów, do Irańczyków jeszcze żaden prezydent Stanów Zjednoczonych nie mówił. Barack

Obama w trakcie zamieszek po wyborach prezydenckich podkreślał, iż Mir-Hosejn Musawi wcale nie jest kandydatem prozachodnim i starał się dystansować od wydarzeń w Teheranie. Jego gra obliczona była na przyszłe negocjacje.

Do rozmów udało się doprowadzić. Media donosiły, iż po raz pierwszy od dawna, doszło do nieformalnych konsultacji amerykańsko-irańskich. Pomimo zaangażowania Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, Unii Europejskiej, a nawet – chociaż w ograniczonym zakresie – Rosji, do porozumienia nie udało się doprowadzić.

Obecnie sytuacja jest coraz bardziej groteskowa. Roczne ultimatum, postawione Iranowi, minęło. Kilka dni wcześniej zostało przez władze irańskie odrzucone. Ahmadineżad nie traci jednak fason i poczucia humoru, gdyż ogłosił, iż teraz to Iran stawia „Zachodowi” miesięczne ultimatum. Albo świat zaakceptuje ich warunki wzbogacania uranu w porozumieniu z Grupą 5+1 (pięciu stałych członków RB ONZ + Niemcy), albo Iran zacznie to robić własnymi siłami.

Obama zostaje postawiony przed nieprzyjemnym wyborem. Negocjacje z Iranem nie wyszły tak, jak tego oczekiwał. Po upływie terminu ultimatum, Iran musi ponieść konsekwencje – od tego zależy prestiż Stanów Zjednoczonych. Prezydent Obama rozmawiał już na ten temat z Grupą 5+1. Podobno istnieje zgoda, co do tego, iż Iran należy ukarać. Do nałożenia skutecznych sankcji potrzebna jest zgoda Federacji Rosyjskiej i Chińskiej Republiki Ludowej, a wiadomo, iż państwa te w Iranie mają swoje interesy. Doświadczenie uczy, iż Rosja i Chiny najchętniej potępiłyby Iran w sferze werbalnej, ale kolejne upomnienie, czy symboliczne sankcje, wystawiłyby na słuszne kpiny nie tylko administrację amerykańską, ale również całą Radę Bezpieczeństwa ONZ. Kontrpropozycja Iranu w/s wzbogacania uranu są nie do przyjęcia, bo nie gwarantuje zablokowania możliwości uzyskania broni atomowej, a to jest przecież celem Stanów Zjednoczonych i ich partnerów.

Ciekawie, w kontekście omawianego zagadnienia, brzmi deklaracja Angeli Merkel. Niemiecka Kanclerz zapowiedziała, iż jeżeli nie uda się nałożyć sankcji w ramach ONZ, to trzeba pomyśleć o innym sposobie ukarania Teheranu, z pominięciem organizacji. Oznaczać to może, iż w ramach Grupy 5+1, pomimo pozornej zgody, co do konieczności uchwalania rezolucji RB ONZ, spór budzi dotkliwość potencjalnych sankcji.

„Change” w sprawie Iranu nie udał się, jak dotąd Obamie. Podkreślenia wymaga, iż podjął w tym celu wiele innowacyjnych działań i za dotychczasowe fiasko, nie należy winić tylko administracji amerykańskiej. Obecność Obamy również hamuje ewentualną operację militarną Izraela. Prezydent nie wspomże takiego działania, dopóki nie będzie pewien tego, iż inne środki zostały wyczerpane. Obama wie, iż – niezależnie od powodzenia takiego bombardowania – w jednym momencie zrujnuje to jego wszelkie dyplomatyczne działania na Bliskim Wschodzie. Izrael, wbrew oficjalnym deklaracjom, nie wyrywa się do przeprowadzenia takiej operacji. Przeprowadzi ją w ostateczności.

### **IZRAEL I TAK ZROBI PO SWOJEMU...**

Ciekawą i zarazem monotonną pracę ma George Mitchell, specjalny wysłannik prezydenta Obamy na Bliski Wschód. Jako były prezes firmy Walt Disney, musi posiadać wyobraźnię. W realiach bliskowschodnich okazało się, iż to nie wystarcza. Jego celem na teraz jest wznowienie procesu pokojowego. Ciekawie jest, bo pracuje w interesującym regionie świata, zapewne nieźle zarabia oraz spotyka się z różnymi osobliwościami, monotennie, bo w swoich raportach może napisać, co próbował osiągnąć i dlaczego to mu nie wyszło.

Barack Obama, we wspomnianym już przemówieniu kairskim, potwierdził konieczność powstania państwa palestyńskiego oraz skrytykował osadnictwo Izraela na Zachodnim Brzegu Jordanu. Premier Izraela, Benjamin Netanjahu i jego minister spraw zagranicznych, Avigdor Lieberman, nie przejęli się jednak

apelami. Do wznowienia rozmów pokojowych nie doszło, gdyż Izrael nie tylko nie zatrzymał rozbudowy osiedli, a wręcz ją nasilił. Zwłaszcza akceptacja takich działań w zachodniej Jerozolimie, uważaną przez Palestyńczyków za stolicę przyszłego państwa, jest ewidentnym policzkiem wymierzonym w Mahmuda Abbasa i Autonomię Palestyńską.

Doszło do sytuacji, w której to Amerykanie, a nie Izraelczycy, skorygowali swoje stanowisko i przestali żądać bezwzględnego zatrzymania rozbudowy, mówiąc jedynie o wstrzymaniu, na które – oczywiście w ograniczonym zakresie – zgodził się Netanjahu. Proces pokojowy nadal stoi, gdyż „wstrzymanie budowy”, w dodatku nie mające obejmować Jerozolimy, nie może być zaakceptowane przez Fatah, bo to oznaczałoby polityczne samobójstwo. Zresztą – mówienie o procesie pokojowym jest trochę naiwne, w momencie, gdy w Strefie Gazy rządzi Hamas, któremu obecny stan jak najbardziej służy.

Obama poległ w starciu z Izraelem, jego położeniem na Bliskim Wschodzie i prawdopodobnie looby żydowskim w Stanach Zjednoczonych. Gdyby było inaczej, warunki gry dyktowałby prezydent Stanów Zjednoczonych, a nie premier małego, dotowanego miliardami dolarów przez Amerykanów, Izraela.

Stany Zjednoczone nadal naciskają na wznowienie procesu pokojowego. W pierwszym roku urzędowania Obamy nie udało się. Na Bliskim Wschodzie konflikt trwa od ponad sześćdziesięciu lat, dlatego prezydent zasługuje na cierpliwość. Sytuacja polityczna w tym rejonie świata nie sprzyja stabilizacji – słaby i lekceważony zarówno przez Palestyńczyków, jak i Izraelczyków, Mahmud Abbas, obecne, niechętne wobec pokoju władze izraelskie na czele z Netanjahu i Liebermanem oraz Hamas rządzący w Strefie Gazy.

## **CIĄG DALSZY NASTĄPI**

Autor: Patryk Gorgol

Źródło: [Kącik Dyplomatyczny](#)